

ZERWANE OGNIWO

Parno. Wiatr zastygł w płataninie bambusowych pędów i lian, ustąpił miejsca ciszy zdawałoby się wiecznej, a jednak gdzieś z południa, spoza liściastej ściany drzew, narasta głuchy pomruk. Brudnym, pełnym mglistych nacieków sklepieniem chmur płyną czarne cienie. Ociężałe, niosąc w trzewiach brzemię śmierci, prą na północ. Nadlatują falami — jedna, druga... Wysiewają w przestrzeń brzęk szukającej zera szarańczy, przenoszą się wysoko niewidzialnym rojem i milkną wreszcie, głuszone murem rosnącej odległości. Lecą do swego celu.

Dżungla zostaje. Trwa ciszą pełną szmerów, szelestów i cieni przemykających gęstwina traw. Ciężkie powietrze ściele nad bagnami zielonkawy opar przesycony wonią mchów i bladych kwiatów, odorem padliny i cierpkim zapachem butwiejących pni. Dżungla jest niema. Cokolwiek jątrzy niebo czy wewnątrz ziemi — nie zakłóca jej spokoju. Cierpliwość jest przywilejem starców, których nie wzrusza upływ tysiąca lat podobnych do siebie jak dwie krople deszczu. Dżungla nie zna już dawno nawet stanu oczekiwania, po prostu — istnieje. Jej życie toczy się w odwiecznym rytmie nieustannego powtarzania cyklu biologicznych przemian, wyznaczonego obrotem planety i kołowaniem księżyców. W rytmie uzależnionym od jądrowych kurczy słonecznego kotła i niepojętych wpływów gwiazdnych mgławic. I nieistotne, czy wyrosła ze skrawka ładu przynależnego Ziemi czy którejkolwiek z planet choćby najdalszych gwiazd. Ludzie są wszędzie. Lub będą.

Obiekt P-24. „Mnemotron”. Zapis 000001

- Nazywam się Ernest Toebben.
- Naprawdę?
- Powtarzam raz jeszcze: jestem Ernest Toebben.
- Zналиśmy kiedyś człowieka o tym samym imieniu.
- Więc musicie przyznać mi rację.
- Od trzydziestu lat pracujesz w naszym instytucie. Wszyscy cię Znają. Nagle zaczynasz obstawać przy twierdzeniu po prostu śmiesznym. To nie ma sensu.
- Próbujesz dopatrywać się sensu w moim postępowaniu? Gdybym potrafił się jeszcze śmiać — odpowiedziałbym ci śmiechem, ale dziś czuję dla was tylko litość. Pokaż mi w waszym świecie ludzi, którzy zachowali rozsądek, oraz ich działanie, którym ja nie odmówię racji. Gdzież ona jest? Chcecie mnie sądzić. Za co? To, co zrobiłem tutaj, nie było zbrodnią.
- O tym zadecydują ja.
- Przeceniasz swoje siły.
- Jestem sędzią.
- Jesteś tylko maszyną. Taką samą jak ja i wszyscy wasi ludzie. I w ciebie założono program.
- Każdy uczy się od swoich nauczycieli.
- Ale myśleć powinien sam.
- Frazesy.
- Tak? A cóż wy zaofiarujecie w zamian? Czym są wasze dążenia? Pełnicie, bojąc obejrzeć się wstecz, bo zobaczylibyście tam własny strach. Za życia ślepi i głusi kroczyście nie widząc przed sobą drogi, nie rozumiejąc, że i tam jest koniec waszych dni.
- Czy tylko to chciałeś powiedzieć?
- Nie... A więc nazywam się Ernest, Ralph albo Tout — nieważne. Nazywam się po prostu Toebben.

Chmury ciągle gęstnieją, pomyślał. Zmęczonym wzrokiem powiódł wzdłuż betonowej wstęgi lotniska. Bure obłoki nawisły nisko gipsowym odlewem poszarzałego nieba. Dzień z dniem wsysają wilgoć powietrza. Łączność z pilotami rwie się już po paru kilometrach i nie pomagają rozrzucone daleko retransmisyjne stacje. Kiedy ustaje łączność, kończy się wszystko i w dżungli wyrasta jeszcze jeden, ten najmniej pożądany, ognisty grzyb. Ile ich było w ostatnim czasie?

Pomyślał, że to już nieważne. Przynajmniej dla niego. Lehmann może się więc jak piskorz i na gwałt poszukiwać panaceum na dolegliwości Kontroli. Dobre wróżki tylko w bajkach szafują cudownymi darami, w rzeczywistości nikt nie powstrzyma pory monsunów. Tak, to nie jest ważne. Nie sposób współczuć innym, jeszcze takim jak Lehmann, kiedy nie wie się, co z sobą samym począć. Śmieszna rozterka. Nie spodziewał się dotąd, że kiedykolwiek znajdzie czas, żeby pomyśleć o tym. On i rozterka — zabawne zestawienie. A może to i lepiej, że młodość bywa krótkowzroczna?

Młodość. Była — minęła. Od niedawna czuje się jak ktoś niepotrzebny i oszukany. On — Ralph Toebben. Czy tak łatwo przedzierzgnąć się w skórę starego człowieka? Dawniej było inaczej. Świat przepływał cuchnącym nurtem codzienności obok niego, a on przeżywał swoje dni powoli i nie uświadamiał sobie, że pod jego stopami rozwiera się przepaść. Pogłębia się rozsadzana stopniowo seriami drobnych potknięć, trawiona uśmiechem Lyalla, dwuznacznymi uwagami Lehmana i chłodnym, ironicznym spojrzeniem Touta. Ostatnie było najbardziej dotkliwe. Nigdy nie roztrząsał łączących go z synem stosunków, a mógł. Może wiele zostałoby wyjaśnione już wtedy? Dzisiaj, po latach dwustronnego milczenia, konflikt nawarstwił się tysiącem niedomówień, lęklwych przemilczeń, i to głównie z jego strony. Z winy genialnego uczonego, Ralpa Toebbena, którego ojcowskie osiągnięcia nie dorównywały jego naukowej sławie.

Wzdrygnął się. Zrozumiał, że odruchowo nazwał siebie ojcem Touta. Słowo „ojciec” nie było tu odpowiednie. Brzmiało jak żywcem wyjęte z apokaliptycznej makabreski. On ojcem Touta... Szarpnął kołnierz koszuli zaciśnięty białą obręczą wokół szyi i westchnął głęboko. Powietrze nie przyniosło ulgi. Było nagrzane, ‘tamujące oddech duszną zawiesiną przemieszanych woni. Dzisiaj czuje się niepotrzebny. A o czym myślał, gdzie dążył, czego oczekiwał przez całe swoje życie? Po prostu istniał problem, który należało rozwiązać. Za jaką cenę? Na to nie zwracał uwagi. Widział przed sobą skrzyżowania dróg, z których prawie każda prowadziła w labirynt ślepych zaułków. Więc zmuszał ciało i myśli do wyęczenia wszystkich sił, aby w gąszczu formuł, w chaosie procesów odnaleźć ten jeden, dający w perspektywie chociażby nadzieję rozwiązania. Wciąż poszukiwał, a przecież powinien był wiedzieć, że nadejdzie chwila, w której czas stanie. Zatrzyma się, ale tylko dla niego. Bo świat pójdzie dalej. Drogami marzeń ludzi oddanych utopijnym ideałom, cierpień ludzi przegranych i nieustannej walki tych najbardziej szalonych, będzie zmierzał w stronę innych dni, takich, jakimi zechcą je widzieć oni wszyscy. On zostanie poza nawiasem tych dążeń, porzucony na skraju drogi, którą jakże opacznie próbował torować. Świat musi pozostać obojętny na los tego, który nigdy nie czuł odpowiedzialności za losy świata.

Cóż za sentymentalizm, pomyślał krzywiąc wargi w nie pozbawionym gorczy uśmiechu. Nie przypuszczał nigdy, że stać go będzie kiedykolwiek na podobne myśli. A przecież chwila ta nadeszła, bo nadejść musiała. W jednej z komórek pamięci mnemotronu spoczywa pełna dokumentacja, monokrystaliczny zapis przeobrażany potokiem prądu w impulsy zaszyfowanej informacji. Co dalej? Opracowana technologia praktycznego zastosowania. Pozostaje więc produkcja. Fabryka geniuszów. On już stworzył jednego — więcej się nie odważy. Zakończył swoje dzieło i nie widzi dalszej drogi. Stoi na skraju urwiska, z którego, wie dobrze, wcześniej czy później będzie musiał dać jeden, jedyny krok.

Ralph Toebben zacisnął pięści i podniósł wyżej głowę. Oczy napotkały nieruchomą ścianę

dżungli. Od ledwie wystających nad ziemię budynków Kontroli szedł Lehmann. Zanim zrównał się z Toebbenem, zdążył nadać twarzy wyraz beztróskiego zadowolenia i tylko mniej posłuszne oczy patrzyły obojętnie, lekceważąco.

— Co nowego, Ralph? Słyszałem, że z dziedzicznością; koniec? Bierzesz urlop? — rzucał pytania nie czekając na odpowiedź.

— Urlop? Wiesz, że nic lubię beczynności.

— Przyzwyczaisz się.

— Myślisz? — przez chwilę poczuł wściekłość, lecz wystarczyło, aby przypomniał sobie Touta, a gniew ustąpił miejsca rezygnacji. Lehmann roześmiał się.

— Zobacz — powiedział. — Wracają.

Na lotnisku lądowały samoloty. Czasem błysnęło jakieś światło pasów startowych odbite w wypolerowanym aluminiowym boku lub przeświliło przyklejoną od spodu szklaną gondolę pilota. Lekkie teraz, opróżnione gdzieś daleko nad dżunglą, ledwie dotknąwszy betonowego pasa kołowały na jego kraniec ze swobodnie rozpostartym profilem skrzydeł i nie zatrzymując się niknęły w podziemiach hangarów. Po chwili zaczęły wychodzić stamtąd lotnicy. Szli nie rozmawiając ze sobą. Na głowach mieli lśniące hełmy. Pomimo parnego powietrza żaden nie pozbył się kryjącego pół twarzy nakrycia głowy.

— Wszyscy? — Toebben kiwnął głową w ich stronę. Nie obchodzili go, ale wiedział, że musi coś powiedzieć.

— Czterech diabli wzięli. Znowu stymulatory... — Lehmann zacisnął kwadratowe szczęki. Skóra na jego gładko wygolonym karku nabiegła czerwienią, gdy zwrócił twarz w kierunku bunkrów i drobnych figurek ludzi. Chwilę przeżuwał jakieś przekleństwo, po czym, już spokojnie, powiedział: — Bydło. Wzruszył ramionami i poszedł przed siebie. Długi, biały fartuch zawijał mu się wokół nóg, kiedy odmierzał ciężkie, sztywne kroki. Ralph milczał. Dopiero gdy tamten znalazł się w połowie drogi do dyspozytorni, zawołał:

— Nie wiesz, gdzie jest Tout?!

Lehmann przystanął. Odwrócił się na pięcie i uważnie zmierzył spojrzeniem Toebbena. Potem machnął ręką w nieokreślonym kierunku.

— W laboratorium — odpowiedział.

— Pracuje?

— Tak. Nie wiem, czy cię dopuszczą. Pułkownik postawił ochronę.

Ralph Toebben zrozumiał, że krawędź urwiska powali topnieje, a drobne kamienie toczą się po pochyłym zboczku w dół, w próżnię.

Obiekt P-24. „Mnemotron”. Zapis 001100

— W latach 1942–44 byłem, znaczy... Zgoda — mój ojciec był kierownikiem specjalnej placówki na terenach niemieckiej Rzeszy. Najpierw w zachodniej Rosji, potem w Polsce. Gdzie dokładnie, nie muszę wam tego mówić. Prace, które zostały wówczas wykonane, znacie równie dobrze. Nie myłę się?

— Przypuśćmy.

— Oczywiście. Ciekaw jestem tylko, ile dotarło do was. Jeżeli wszystko...

— Cóż się zmieni?

— O, teraz już nic. Przynajmniej nikomu to dzisiaj nie pomoże, a ja nie jestem taki znów ważny. Jeżeli prawda była wam znana od samego początku, to jeszcze jeden dowód, że trzymaliście mnie z czystego wyrachowania.

— Czyżby? To coś nowego.

— Bynajmniej. Miałem spełnić oczekiwania, na których już wtedy oparliście swoje nadzieje na lepsze jutro. Nie zawiedliście się, prawda?

— Wysoko siebie cenisz, ale słucham. Co dalej?

- Teraz jestem wam niepotrzebny. Zrobicie ze mnie szaleńca opętanego psychozą stworzonej przez siebie pseudonauki, któremu majaczy się cień prehistorycznego wilkołaka.
- Jeżeli tak twierdzisz, widocznie masz ku temu powody.
- A ty mi nie zaprzeczysz?
- Miałem cię tylko wysłuchać.

Kontrolna wieża lotniska wznosi się wysoko ponad zaryte w ziemię budynki Bazy. Spłaszczony grzyb obraca się na gładkim, strzelistym korpusie i wysunawszy czułki anten z nieustanną podejrzliwością przeczesuje mrok.

Wolnym krokiem podszedł do budowli nakrywającej szyb windy pancernym dyskiem dachu. U wejścia stoi wartownik. Toebben zatrzymał się niepewnie, ale tamten nie zwrócił na niego uwagi. Patrzył nieruchomo w stronę dżungli. Miał ciemną, wysuszoną skórę twarzy, obciążone zmarszczkami ostro wystające kości policzkowe i czarne węgle rozszerzonych źrenic. Chude ręce kurczowo zaciskały się na kolbie infradźwiękowego emitera. Żołnierz powoli, jakby niechętnie, spojrzął na Toebbena.

— Ty, powiedz, gdzie... Kto ja jestem?

Toebben cofnął się i dopiero wtedy zauważył trzepot czerwonego sygnału na kulistym hełmie.

Minął wartownika nie odpowiadając i zatrzymał się w przejściu, przed ściennym wideofonem.

Stanął tak, aby znaleźć się w polu widzenia kamery, lecz ekran pozostał mlecznobiały.

— Poproszę dyspozytornię Kontroli — powiedział.

— Słucham? — to był na pewno głos Lehmana.

— Przed „studnią” stoi wartownik. Wymień, zanim spostrzeże ktoś z wojskowych.

Przez chwilę w słuchawce słychać było tylko szelest oddechu.

— Dziękuję, Ralph... Mam przeciążone kanały. Zacinają się stymulatory.

Toebben spokojnie powiesił słuchawkę. Przypomniał sobie nagle, że stojący z tyłu homoid ma broń, ale nie odwrócił się. Miał nawet nadzieję, że usłyszy szcęk odwodzonego spustu, nie nastąpiło jednak nic. A wszystko stałoby się od razu proste.

Wszedł do windy. Pomyślał, że ‘i Lehmann nie jest pozbawiony swoich lęków. Kłamał od wielu dni wmawiając wojskowym, że przyczyną coraz większych strat w lotnictwie są warunki atmosferyczne. Tymczasem zawodził mechanizm kontroli. Nie ma rzeczy ani ludzi niezawodnych. Przede wszystkim ludzi. Ciężka, opleciona metalowym żebrowaniem skrzynia osunęła się w głąb ziemi. Na siódmym poziomie drzwi wypuściły go na korytarz.

Tunel biegnie prosto, łącząc końcami przeciwległe łuki okrężnego chodnika. Cała budowla ma kształt dzwonu zanurzonego w gruncie i spojonego kielichem z podziemną formacją skalną. W mrocznych i pustych o tej porze korytarzach głucho dudnią kroki wystukiwane na plastikowych płytach posadzki. Co kilkanaście metrów czernieją wyloty bocznych przejść, a nad wciśniętymi w ściany drzwiami jarzą się purpurowe napisy — dziesiątki cyfr i liter, kryjących pod pozorem jednostajnej powtarzalności znaków magazyny, laboratoria i ośrodki dyspozycyjne poszczególnych sekcji Poligonu. Sztab główny zajmuje najniższą, ósmą kondygnację.

Toebben przystanął przed szczelnie zamkniętym wejściem. Z przeciągłym westchnieniem odsunęła się kłapa i tylko oko fotokomórki zwięzło, jakby z ironią, zieloną źrenicę.

W kabinie przejściowej siedziało dwóch mężczyzn w szarych, połyskujących ściągniętymi przez pasy fałdami mundurach. Ciasne hełmy nakrywały im głowy. Na pierwszy rzut oka nie różnili się między sobą, niczym dwie bliźniacze, powleczone srebrzystą łuską jaszczurki. Na widok wchodzącego wyprężyli się pod ścianą, pozostawiając jednak wolne przejście do następnych drzwi.

— Profesorze Toebben, pułkownik prosił, aby nie niepokoić pańskiego syna.

— Mnie to chyba nie dotyczy?

— Nie ma wyjątków. Może pan wejść jedynie w sprawie dotyczącej bezpośrednio zadań ośrodka.

— Oczywiście — odpowiedział i obojętnie przeszedł obok dwóch zastygłych postaci. Dotąd każda jego wizyta była „ważna”, nikt nie śmiał wątpić. Dzisiaj pułkownik zaczyna prosić.

Przestąpił niski próg. Wewnątrz długiej hali, szklanymi ścianami przedzielonej na kilka sekcji, dawało się wyczuć lekkie napięcie, niepokój towarzyszący zwykle decydującym doświadczeniom w toku zakrojonego na szerszą skalę eksperymentu. Pochylone plecy neuroników nawet nie drgnęły na odgłos jego wejścia. Szybko przeszedł w drugi koniec sali. Jeszcze jedne drzwi. Najpierw uchylił je lekko, zaglądając do środka, po czym wszedł, starannie zamykając drzwi za sobą.

Tout siedział przed całościennym ekranem. W błękitnawej, jakby z lekka zamglonej powierzchni szkła głębi obrazu unosił się ludzki mózg. Szare sfałdowania lśniły tłustym osoczem, jakby wyjęte niedawno z fizjologicznego roztworu, którego bezbarwne strużki ściekały jeszcze, opadając z rzadka ciężkimi kroplami. Toebben odruchowo wciągnął nozdrzami powietrze. Wsłuchiwał się w siebie. Gdzieś z zakamarków podświadomości sączyło się jakieś wspomnienie. Zrazu nieuchwytnie, nagle przesłoniło rzeczywistość...

...Tam również był mózg. Człowieka. Bez ekranu. Podatny na dotyk palców leżał na metalowej tacy tuż przed twarzą. W szarawy miąższ powoli zagłębiały się igły elektrod. Eksperyment odbywał się w jakimś baraku i bielone tylko od wewnątrz ściany oślepiały blaskiem rzucanym na deski przez wielkie, elektryczne lampy. Ktoś na moment uchylił skrzypiące drzwi i można było dostrzec oświetloną reflektorami linię drewnianych słupów z rozpiętymi strunami kolczastych drutów. Rozległy się czyjeś przytłumione głosy. Krótkie szamotanie poprzedziło ostry trzask prądu. W powietrze wdarł się swąd rozgrzanych przewodów, zwęglonej izolacji i czegoś jeszcze, nieokreślonego. Ktoś rozpaczliwie krzyknął:

— Nieee!!

Urwał przerażony. Tout patrzył mu w oczy chłodno, bez gniewu. Boże, co się ze mną dzieje? Ralph Toebben z trudem powstrzymywał drżenie rąk. Przecież wtedy mnie jeszcze nie było! Ernst? On tak, ale nie ja. Nie ja! Potrzebuję spokoju, potrzebuję spokoju — powtarzał gorączkowo, czując się jak zwierzę, przez własną nieostrożność pochwycone w sidła.

A jeżeli Tout wie?

To przypuszczenie pojawiło się tak niespodziewanie, a przecież mógł się dawno domyślić. Na samym początku nie było rozpoznania informacji. Dzisiaj oczywiście potrafiłby dokonać selekcji. Wtedy... Pierwsze próby, ryzyko. Osiągnięciem była sama możliwość zapisu, przeniesienia na genotyp przyszłego człowieka pełnej pamięci osobnika dorosłego. Nie umiał tylko rozszyfrować informacji, o to zresztą nie chodziło. W pierwszej próbie, 2 braku wyboru, zapisowi podlegało wszystko.

Spojrzał na syna. Ten nie wpatrywał się już w ojca. Jego wzrok przeskakiwał z ekranu na wykresy encefalogramów i z powrotem na ekran. Ręce położył na klawisze sterujące automatem i ze spokojem śledził ruch manipulatorów. Ralph Toebben jeszcze raz przypatrzył się obrazowi.

Wszystko było takie samo, jak w tysiącach doświadczeń, które potwierdziły założenia jego własnych teorii. Plastikowe tętnice tłoczące utlenioną krew z rozpuszczoną pożywką w układ krwionośny mózgu i odprowadzające ją z powrotem, sieć czujników sięgająca pod fałdy kory mózgowej, zwoje przewodów łączących końce nerwów pod rdzeniem z wejściami elektronowych analizatorów. Oddzielne połączenia ośrodków wzroku z przetwarzalnikami bioprądów na mechaniczne drgania pisaków utrwalających na papierowych taśmach zmiany natężeń elektrycznych potencjałów. I... Zmarszczył czoło. Elektrody nie kontaktowały z mózgiem. Miały nie znany mu kształt. Rozwarte, sześciopalcowe pająki zwiesiły zgrubiałe

odwłoki nad stalowosiną powierzchnią.

Szukał z nadzieją miejsca styku, lecz odległość dzieląca je od mózgu nieustannie rosła. Wynosiła już jakieś trzy centymetry, a głos automatu ciągle stwierdzał odbiór sygnałów:

— Reakcja dodatnia plus osiemnaście. Reakcja plus... Ralph Toebben wiedział, że jest to niemożliwe. Zupełnie niemożliwe.

Obiekt P-24. „Mnemotron”. Zapis 010111

— Istnieją trzy drogi przyswajania przez człowieka informacji. Pierwsza, wybrana przez samą Naturę, zmusza do jakże omylnego i czasochłonnego posługiwania się narządami zmysłów, głównie wzrokiem i słuchem, mniej dotykiem czy węchem. Druga jest bezwzględnie wydajniejsza — to dziedziczność. Natura, nawet w przypadkowym doborze ewolucyjnych rozwiązań, postępowała rozważnie. Przynajmniej względem człowieka. Wytoczyła granice celowości, a ja, dążąc jej śladem, przekroczyłem owe granice. Metoda ta nie kształtuje danej osobowości z biegiem czasu, lecz określa ją z góry. Ingerencję rozpoczyna już u źródeł jej powstania — wewnątrz genetycznego kodu.

— To wiemy. A trzecia?

— Tą poszedł Ernst Toebben. Jeżeli chcecie — mój ojciec.

— Na czym polega?

— Nie można jej właściwie nazwać drogą samoistną. Mam ją raczej za pewną kontynuację, prymitywną w istocie próbę rozwinięcia i udoskonalenia wersji ewolucyjnej, polegającą na pominięciu kanałów zmysłowej akumulacji wiedzy.

— W jakim celu? Nie widzę opłacalnej motywacji podobnych eksperymentów.

— Tym niemniej Ernst Toebben był innego zdania i jestem skłonny przyznać mu rację. Pracował nad przeniesieniem informacji bezpośrednio do układu pamięciowego w już rozwiniętym narządzie, jakim jest ludzki mózg. W perspektywie dawało to możliwość dowolnych operacji wiedzą poszczególnych ludzi. Oczywiście w perspektywie. Pierwsze eksperymenty zapewne nie obyły się bez pokaźnych luk albo nieścisłości zapisu związanych z brakiem technicznych urządzeń zdolnych zapewnić właściwy kontakt sprzężanych zasobników pamięci dawcy informacji oraz jej odbiorcy. Lecz Ernst Toebben zmierzał do celu i osiągnął go.

— Skąd to przeświadczenie?

— Mnie pytasz? Świadczą o tym dokumenty znajdujące się w waszym posiadaniu. Nie zaprzeczaj. Wcale nie twierdzą, że wiecie wszystko. Kiedy Ernst przeszedł na waszą stronę, czasy były niespokojne, część zapewne przejęli ci ze Wschodu. Ale najważniejsze jest u was. Przecież przez parę lat mieliście w ręku samego Ernsta.

— Możliwe. A jaki to ma związek z tobą?

— Ze mną? Ciągle udajesz naiwnego. Ernst Toebben dokonał jednego udanego eksperymentu. Zapisał w mózgu jakiegoś człowieka przynajmniej część swojej pamięci. Nie szukaj daleko — jestem jego synem.

Patrzyli na siebie. Ekrany przygasły i zostało tylko seledynowe jarzenie się ścian. I tylko stopniowo narastał szum coraz to nowych, włączanych kolejno matematycznych maszyn. Sącący się zewsząd szelest prądów potęgował uczucie lęku, drażył w przestrzeni zwoje nie kończących się korytarzy mrowiska, po których drepczą wielkie, białe mrówki. Każda jednakowo wielka, jednakowo biała i każda ślepa. Wszystkie ślepe od tysięcy lat wstecz i na wieczność w przód. Ślepe, bo takie jest ich piętno, taki jest ich genetyczny kod.

— Po co przyszedłeś?

Ralph Toebben nie odpowiedział. Przed pulpitem stały cztery przyśrubowane do podłogi fotele.

Usiadł naprzeciw Touta.

— Czemu zawdzięczam twoją wizytę? — powtórzył Tout.

— Więc aby spotkać się, musimy wynajdywać ku temu jakieś specjalne przyczyny?

Toebben spróbował nadać pytaniu ton ironii, ale jego głos załamał się w połowie frazy i słowa zabrzmiały niemal żałośnie.

Zrozumiał, że wyglądać musi śmiesznie, a potem nie było już sensu zawracać z obranej drogi.

— Nie masz wolnego tematu? — zapytał. — Chodzi o pracę.

— Dla kogo?

— Dla mnie.

Tout był zdziwiony, lecz Toebbenowi wydało się to zbyt ostentacyjne, aby mogło być w miarę choćby szczere.

— Nie tak dawno sam stawiałeś przed sobą zadania i sam je rozwiązywałeś.

— Robiłem, co do mnie należało. Wystarczająco wiele.

— Zrobiłeś tyle, na ile było cię stać — obojętnie odparł Tout. — Nie w tym rzecz.

— Więc o co chodzi?

— Nie powierzałeś nikomu opracowywania własnych planów. Miałeś rację: co rozpoczął Toebben — powinien zakończyć. Więc myślałeś sam. Słusznie. Żadnej tajemnicy nie wolno ujawniać do końca, coś trzeba zachować w swojej i tylko swojej głowie jako ubezpieczenie na wypadek, kiedy okażesz się niepotrzebny.

— Być może zapomniałem o tej zasadzie — Toebben wzruszył ramionami. — Chciałem jednak skończyć tę pracę. Niczego nie można przeciągać w nieskończoność.

— Też racja.

— Więc?

— Żądasz ode mnie zbyt wiele. Szczegóły mojej pracy znam tylko ja jeden i nie mam zamiaru ryzykować.

— Ryzykować? — Toebben pochylił się. — Co to znaczy? Tout roześmiał się głośno, bez skrępowania i Ralph Toebben zrozumiał, dlaczego nigdy nie potrafił zbliżyć się do syna. Nazbyt przypominał mu siebie samego, jakim był kiedyś. Te same chłodne, niebieskie oczy i prawie biała, przeredzona na skroniach grzywa włosów. I twarz, na której pozostał jeszcze ślad czegoś, czego w żaden sposób nie potrafił określić. Bo przecież dzieciństwo mu odebrał. Tout Toebben, syn Ralphi Toebbena, nigdy nie myślał kategoriami dziecka. Zawsze był dorosły.

— Pytasz, co to znaczy? Naprawdę niczego się nie domyślasz, czy też...

— Nie rozumiem.

— Niece?... Ty, wielki Ralph Toebben, nie rozumiesz? A ja ciebie przecież znam. Bardzo dobrze, jak samego siebie. Chcesz słyszeć prawdę? Dostyc późno, ale dobre i to. Dawno ze mną nie rozmawiałeś. Trudno. Byłeś zajęty. Wielki Ralph Toebben kładł ostatnią cegłę gmachu wiecznej dziedziczości wiedzy. I nikt nie pomyślał, nikt nie mógł przypuścić, że ów geniusz zbudował sobie pomnik za życia. Co dalej? Zapewne myślałeś nad tym, tylko że nic nie wymyśliłeś i... przyszedłeś spytać się pomnika.

— Tout, nie możesz tak myśleć!

— Mogę, bo ty mogłeś. Ale gdyby i nie, to powiedz mi, kim jestem? Dałeś mi swoją pamięć, wiedzę warunkującą myśli i odruchy. Czego się spodziewałeś? Milczysz. A przecież jest tak, jak to sobie zaplanowałeś. Zostałem fizykiem, biologiem i neurofizjologiem. Pragnąłeś, abym kontynuował twoje dzieło, gdy sam nie będziesz zdolny do pracy. Toebben zaczął — Toebben musi skończyć... Z jedną poprawką — nigdy nie należy się cofać. A więc żądasz pomocy. Nie. Potrafię tyle samo co ty. O wiele więcej. Zastanawiałeś się, kto w rzeczywistości wykańcza tę twoją trzydziestoletnią męczarnię nad dziedziczością? Była jedynym zadaniem, jakie pozostawiłem tobie. Nie pułkownik, lecz ja. Zresztą od z górą trzech

lat żadna idea nie wyszła bezpośrednio od ciebie. Twój mózg stał się bezpłodny, pozbawiony soków jak wyciśnięta cytryna. Podsuwano ci rozwiązania, niemal siłą sprowadzano na właściwą drogę. Kto? Ja, przez Lehmana, Berka i Lyalla. Nie zauważyłeś tego. Byłeś bezgranicznie : zadufany w sobie. Czy oddałbyś komukolwiek rozpoczęte dzieło? Nie. Ja jestem taki sam jak ty.

— To wszystko?

— Poczekaj. Nie proponuję ci takiej pracy, jaką wykonują laboranci, którzy nawet nie domyślają się celu całości badań, pochłonięci pasją rozwiązywania tuzinkowych problemików. Mógłbyś się jednak przydać w sprawie dosyć specyficznej. Twoje imię coś jeszcze znaczy. W pewnych kręgach, oczywiście. Łatwiej potrafiłbyś uzyskać fundusze...

— Mam zostać handlarzem? — cicho powiedział Toebben. Tout skrzywił się.

— Jeśli już nazywać rzeczy po imieniu, to nie handlarzem, lecz przynętą. Będiesz jeździł, wygłaszał odczyty, autorytatywnie wypowiadał się na kongresach i urabiał opinię. Ja nie mam na to czasu ani ochoty.

— I myślisz, że ja ją znajdę? — zapytał Toebben.

— Mnie to nie obchodzi, a ty masz jeszcze w odwodzie rentę i wilłę na tym bardziej spokojnym, że przymusowym odludziu. Możesz wybierać. Ja zresztą niczego ci nie proponowałem. Wszystko zależy...

— Od czego?

— Intrygujesz mnie — Tout przechylił się przez poręcz fotela i z natarczywością przypatrywał się Toebbenowi.

— Zmieniłeś się ostatnio — powiedział. — Nie podoba ci się użytek, jaki robią tutaj z naszej pracy. Masz rację, uczonego nie powinien stać obojętnie wobec spraw, które rządzą tym światem. Już wiele, zbyt wiele razy popełniono ten błąd. Ostatnio choćby podczas byłej wojny. W ten sposób nie rozgrywa się partii idących o dużą stawkę. Uczni mieli, mogli mieć wszystkich w rękę, gdyż posiadali atom. To była wielka szansa i nikt jej nie wykorzystał. Politycy? Są potrzebni tak długo, dopóki jest z kim dyskutować, innymi słowy — stawiać dymną zasłonę przed rzeczywiste cele. W ostatecznym rozrachunku nie my, ale oni będą narzędziem.

— Na razie jednak rządzą i mówiąc to wydajesz siebie w ich ręce.

— Tutaj nikt mnie nie słyszy, zadbałem o to. Poza tym nawet nam potrzebny jest sojusz zdolny zapewnić bezbłędne wykonanie naszych poleceń. Dlatego pułkownik jest po naszej stronie.

— Więc znowu wojsko...

— Oczywiście. A ty albo z nami...

— Mam tego dosyć. — Toebben postanowił skończyć rozmowę i odejść, lecz w ostatniej chwili coś go powstrzymało. Pomyślał, że może dowiedzieć się o wiele więcej.

— Przestraszyłeś się? — Tout pogardliwie wydał wargi. — Strata niewielka. Zaszkozić nam nie możesz. Wiem o tobie wszystko. Dałeś mi swoje myśli, potrafię przewidzieć każdy twój krok.

Tout wstał z fotela i odwrócił się od siedzącego.

— Jedno mnie dziwi — dodał. — Dawniej byłeś inny. Kiedy przeprowadzałeś doświadczenia nad zarodkiem własnego syna, nie miałeś skrupułów. Ani przedtem... Ilu ich było? Stu? Więcej? Potrzebowałeś dużej ilości preparatów.

— Milcz! — Toebben chciał krzyknąć, ale z jego zaciśniętej krtani wydobył się ledwie słyszalny szept i Tout mówił dalej, mogąc z powodzeniem udawać, że nie dosłyszał.

— Nie pojmuję więc, skąd ten nagły zwrot? Krzywisz się na projekt Lyalla, głosowałeś przeciw grawigeneratorowi Kahna... Ralph Toebben był dotąd przekonany o tajności głosowania nad przekazaniem zakończonych projektów do rozpatrzenia przez komisję ekspertów wojskowych.

— Uważasz za przestępstwo produkcję homoidów Lehmana i próby kontynentalnego sterowania epidemii chorób wirusowych. Chociaż, w tym wypadku, jestem po twojej stronie. Ludzi nie wolno zabijać. Muszą być zdrowi i silni. Śmierć to największe marnotrawstwo ludzkiego materiału, a dzięki mnie nikt już nie będzie zabijał. Niedługo stanie się to zbędne. Infradźwiękowe emitory rozsadzające układ krwionośny, neutrinowe bomby, elektrody wmontowane tym półludziom z dżungli po to tylko, aby sadzać ich w samoloty i wysyłać na bombardowanie własnych wiosek. Masz rację, to mógł wymyślić tylko Lehmann. Ale już niedługo... Tout mówił dalej, ale Ralph Toebben nie słuchał. Przymknął powieki i wywoływał z pamięci obraz, jaki niedawno zobaczył na ekranie...

...Dwie szare, wyraźnie przedzielone pionową szramą półkule mózgu, czujniki i nawisające zewsząd cienie elektrod. Elektrod nie kontaktujących bezpośrednio z mózgiem, kierujących jego myślą z zewnątrz.

Obiekt P-24. „Mnemotron”. Zapis 100010

— Dlaczego kontynuowałem jego prace? W problemie, jaki udało się mi rozwiązać, założony był pierwiastek marzeń i poszukiwań wielu innych uczonych, którym może się mniej poszczęściło. Zagadnienie dziedziczenia wiedzy, przekazywania z pokolenia na pokolenie nabytych doświadczeń to wszystko marzenia, które ja urzeczywistniłem. Ja — Ernst Toebben.

— Wracasz do punktu, z którego wyszliśmy. Dla nich byłeś i pozostaniesz Ralphem Toebbenem.

— Wracam? Tak... Ale o to właśnie chodzi! Rozumiesz? Najważniejszy jest punkt wyjścia. Każdy człowiek rodzi się w ściśle przypisanym sobie czasie. Co jednak się stanie, gdy w teraźniejszość wejdziemy z hasłami prahistorii, a oblekwszy je w rytualną komżę nowoczesnej techniki spróbujemy kształtować nimi własną przyszłość? Moment wyłonienia się mojego „Ja” znajduje się tam, w 1945 roku, w krematorium na terenach Rzeszy, w tajnym laboratorium Ernsta Toebbena. Jestem jego kontynuacją, jego myślą! Na fundamencie doświadczeń, które on zapoczątkował, stworzyłem Naukę. Nadałem jej pozory czystości. Poszedłem dalej, do następnego etapu, którym był Tout.

— Kto?

— Nie pozoruj zaskoczenia, wiedziałeś o tym dawno.

— Jakim sposobem?

— Śmieszne, choć to w zasadzie moja wina. Przede wszystkim śmieszny ja jestem. Sądziłem, że tajemnica zostanie na zawsze zagrzebana w mojej pamięci. Stało się inaczej. Tak zresztą być musiało, albowiem Tout również posiadał wiedzę, którą ja zdobyłem, i znajomość spraw przekazanych mi przez Ernsta Toebbena. Później Tout był bliższy wam niż swojemu formalnemu ojcu. Dlatego właśnie i ty wiesz wszystko. Tak, Tout to ciąg dalszy łańcucha, etap następny... Jedno jednak nas różni. W moim ręku dzieło Ernsta Toebbena nabrało cech doskonałości. Ja miałem jeszcze szansę. Jedną na milion, że coś zostało przeoczone, że ulegnie zatarciu jakiś zapis, że potrafię zapomnieć i że w końcu zdołam pomyśleć tak, jak to ma miejsce obecnie. Program zapisany w moim mózgu, owa przeklęta informacja ustalająca z góry, że będę taki, a nie inny, mogła kiedyś zawieść.

Ten szatański tatuaż myśli, neuronowy zapis miał jeszcze cechy pozostawiające nadzieję powstania procesów odwracalnych.

— Mówisz, jakby kwestia zastosowania wobec ciebie transformacji pamięci twojego ojca nie podlegała dyskusji.

— Zgoda. Nie potrafię tego udowodnić, jeśli obstajecie przy swojej niewiedzy oraz nie chcecie mi uwierzyć. Ale jakie ma to w ostatecznym rozrachunku znaczenie? Weźmy Berkera lub Lehmana. Czym się różnią ode mnie? Moje myśli zapłodnił rozum Ernsta Toebbena, a

ich uformowało wasze wychowanie. Powiedz mi, czym się różnimy? Czy byłem narzędziem uformowanym przez was, czy przez niego — to jedno. W obydwu wypadkach miałem ostatecznie pogrzebać możliwość naturalnej ewolucji myśli. Chcieliście zahamować wszelki postęp...

— Sam zdajesz sobie sprawę, że jest to niemożliwe.

— Niezupełnie. Masz rację tylko w wypadku progresu techniki. Ją można rozwijać w nieskończoność. Coraz doskonalsze instrumenty i wciąż władający nimi człowiek na tym samym poziomie kultury. Człowiek widzący tylko siebie. I tak by się niewątpliwie stało, gdyż ja, ze względu na niedoskonałość metody Ernsta Toebbena, miałem jeszcze szansę. To nic, że była nie większa od przestrzeni między elementarnymi cząstkami w jądrze gwiazdznego karła. Tout nawet tej szansy nie miał. Ja, Ralph Toebben, wymyśliłem precyzyjny mechanizm wiecznej dziedziczności wiedzy. Doskonały mechanizm. Komplikacja spowodowana do molekularnej syntezy enzymów w cytoplazmie. Organizm dorosłego człowieka sam zaopatruje komórki anizogamet w pełną informację z mózgu i to, że każdy potomek posiada wiedzę rodziców, jest pewne, jak fakt lewoskrętności cząsteczek białka w kolejnym pokoleniu istot żywych na całej ziemi. Znajdziesz tutaj lukę? Nauczyłem się blokować procesy przypadkowej zmiany stosunków ilościowych poszczególnych genów wykluczając postronne mutacje. Powstała potworna matryca, do której przybywa coraz więcej czcionek wiedzy, lecz której punkt wyjścia pozostaje ten sam. Bo czymże ja różnię się od Ernsta Toebbena? Tym, że poszedłem dalej niż on? Czym różnię się od Touta? On poszedł dalej niż ja...

Ralph Toebben oddychał z wysiłkiem. Spozrzegł, że jest już starcem, w wieku pięćdziesięciu zaledwie lat — kaleką o mózgu wyżętym z myśli i ciała pozbawionym reszty energii. Życie ma wtedy tylko sens, gdy człowiek zdolny jest wyznaczać sobie kolejne cele, osiągane następnie dzięki nakładowi pracy. Ma sens nawet wtedy, gdy wytyczony cel będzie zbyt odległy, aby go osiągnąć. Wtedy pozostaje jeszcze samo dążenie do niego, przybliżanie się do marzeń i ukrytych nadziei. I nie ma znaczenia, że te do końca pozostają zazwyczaj nie spełnione. Człowiek patrzący w przyszłość wierzy zawsze, że idzie naprzód. Lecz Ralph Toebben nie widział przed sobą niczego. Oczy rozpoznające tylko kształty zwykłych przedmiotów to zbyt mało. Bardzo mało.

A Tout jest młody. Miną dni, miesiące, lata — do chwili, kiedy przyjdzie jego kolej. Tout się nie podda. Będzie walczył. Dla niego nie ma odwrotu. Ale i on będzie miał syna. I tamten też. Kto zna pojemność ludzkiej pamięci? Nawet gdy komórki mózgu któregoś z kolei dopełnią się ostatnim bitem informacji, wystarczy zbędne, przestarzałe dane poddać mechanicznemu wymazaniu. Trzeba będzie, jak z magnetofonowej taśmy, skasować z genotypu nieaktualny balast i wszystko potoczy się dalej. Cały czas będzie rósł geniusz Ernsta Toebbena.

— Ten ostatni eksperyment? — zapytał Ralph. — Jakie jest jego miejsce w twoim planie? Zauważył, jak oczy Touta załśniły tłumionym dotąd blaskiem.

— Domyśliłeś się? O tak, tobie mogę powiedzieć. Jesteś w pewnym sensie współtwórcą. Podwójnie. Jako ten, który stworzył mnie i... Pamiętasz, kiedyś w ubocznym odgałęzieniu badań nad dziedzicznością musiałeś przeprowadzić rozpoznanie zależności żywych organizmów od tak zwanego „czynnika zewnętrznego”. Opracowałeś mimochodem z konieczności pobieżną systematykę wpływów i wzajemnych związków między reakcjami psychiki i fizjologii człowieka a kosmicznym promieniowaniem, słonecznymi erupcjami i zmiennością pól magnetycznych przestrzeni wokółziemskiej, Układu, aż po jądro Galaktyki. Stwierdziłeś występowanie całej sieci niezwykle ważnych powiązań... Nie wyciągnąłeś jednak zasadniczych wniosków, a powinieneś był to uczynić. Kiedy analizowałem pamięć Mnemotronu, zastanowił mnie pewien moment twoich badań — oddziaływanie określonej częstotliwości fal elektromagnetycznych na kresomózdze. Rezultaty widziałeś. Jeszcze parę

lat i tracą sens elektrody Lehmana. Na razie zasadę wpływu na ludzkie myśli znam tylko ja jeden, a prawdopodobieństwo, że ktoś tą samą drogą rozumowania osiągnie podobne rezultaty, jest praktycznie równe zero. Przyznaję otwarcie: to był przypadek, ale nawet z nim zetknąć się może tylko ktoś, kto wyszedł z tygla Ernsta Toebbena. Tak, to był przypadek. Niezwykły, ale jakże na czasie. Dzięki niemu potrafię kierować nie tylko jak Lehmann działaniem ośrodków czynnościowych, lecz i myślami ludzi. Rozumiesz? Myślami...

Tout stał na środku pokoju i patrzył na ojca. Jednostajna poświata wypełniająca laboratorium jakby koncentrowała się w jego zwięzionych oczach, nadając im niesamowity, drapieżny wyraz.

— Na biegunach planety zbudujemy potężne energostacje obejmujące polem modulowanych fal elektromagnetycznych obie półkule — ciągnął. — Mam już projekt wykorzystania naturalnego pola magnetycznego globu... Przez ten czas znajdziemy środki lokalnej neutralizacji albo ekranizacji wpływu fal. My, reszta nie zdąży, a później będzie za późno. Nikt nawet nie spróbuje zmienić czegokolwiek. Wszyscy będą myśleć, jak my im podyktujemy. Przesną zabijać się nawzajem w wojnach i nikt nie zechce ginąć za żadne ideały. Nie będzie zresztą innych wartości niż te, które oni w nas dostrzegają będą. Wszyscy z samozaparciem, z błogosławionym natchnieniem oddadzą się na nasze usługi. Wyobraź sobie: cały świat pracujący dla nas i nas wielbiący. Nawet nad grobami swoich matek i ojców dzieci nie pozbędą się uwielbienia naszych czynów, a umierający, miast wznosić modły do mitycznego Boga, zemrą z imieniem Władców na ustach. Jeśli zechcemy, obdarzymy ich szczęściem, którego źródła i bezsensu raz nie pojawią się — nigdy nie będą dociekać. Uczynimy to my, wybrańcy losu, który w nasze ręce złożył narzędzie zdolne pokierować losem innych.

Umilkł czekając.

Toebben z wysiłkiem podniósł głowę usiłując zebrać rozbiegane myśli.

— To wszystko? — zapytał cicho.

— Wszystko? — Tout zaniósł się głośnym śmiechem. — Uważasz, że mnie również brakuje wyobraźni? A może ciebie nie doceniam? Jeśli masz wyższe aspiracje — nie krępuj się. Cóż dla ciebie znaczą piramidy faraonów i świątynie Buddy w skałach Adzanty? Jeśli zechcemy, ludzie przewiercą dla nas całą ziemię, aby magmowe jądro płonęło wiecznym ogniem przed naszym ołtarzem. Może chcesz w blasku tej lampki zobaczyć własny profil? Zastanów się. Mnie to nie bawi, ale ty?...

Ralph Toebben podniósł się z fotela i poszedł do wyjścia. Mijając wygasłe ekrany widział w nich, jak w powlęczonych bielmem ślepiach, swoje odbicie. Łamało się pokracznie w krzywiźnie szyb i podrygując szydlerczo, jakby urągało temu, który dał mu początek.

Za plecami znowu usłyszał śmiech.

W laboratorium było już pusto. Białe mrówki opuściły swoje nory, przerwały krzątanie. W następującej ciszy jego kroki i śmiech za plecami miały dziwnie jednakowe brzmienie, jednakowy rytm rozciągniętego chichotu i bezsilnego szurania podeszew na szarej posadzce.

Otworzył drzwi kabiny przejściowej i zobaczył wartowników.

Jeden leżał wciśnięty w kąt salki, twarzą do podłogi. Ustami wypłynęła mu cienka strużka krwi z rozerwanych rezonansem serca naczyń krwionośnych. Drugi chwiejnie sunął wzdłuż ściany, wodząc po gładkiej powierzchni szeroko rozpostartymi rękoma. W lewej dłoni zaciskał kolbę infradźwiękowego emitera. Toebben patrzył. Na srebrnym hełmie wartownika niespokojnie trzepotał czerwony ogień. Przypomniał sobie słowa Lehmana: „...zacięty Stymulator, tracę kontrolę”.

To była jego szansa.

Podszedł do stojącego pod ścianą i łagodnie wyjął mu z ręki emiter. Napotkał przelotne spojrzenie bezmyślnych, wilgotnych oczu. Odwrócił się i poszedł z powrotem.

Obiekt P-24. „Mnemotron”. Zapis 101101

— Będziecie sądzić mnie za zabójstwo syna, Touta Toebbena. Tak, zabiłem go, ale nie dzisiaj i nie w tej przeklętej bazie. Zrobiłem to dużo wcześniej, przed z górą dwudziestu laty, przed sformowaniem się w szklanej kolbie pierwszych blastomerów, w chwili, kiedy dałem mu, bez szans wyboru, swoją wiedzę i myśli. Właśnie to była jego agonია. Kim mógł zostać? Nikt dzisiaj nie odgadnie... Zawsze jednak byłby sobą! Rozumiecie, co dla człowieka znaczy — być sobą? Zdławiłem jego osobowość, zanim jeszcze zdążyła się rozwinąć, wstawiając na to miejsce doskonałą protezę swojej własnej. Został mną, jak ja byłem Ernstem Toebbenem. Będziecie mnie sądzić za morderstwo... Ależ ja dzisiaj zabiłem siebie! Słyszysz? Zerwałem ostatnie ogniwo, które mogło połączyć losy przyszłości z marzeniami Ernsta Toebbena! Ostatnie ogniwo.

— Uspokój się. Doprawdy potrafisz być śmieszny. Od kiedy to przebudził się w tobie ten altruizm, współczucie i litość nad ludźmi? Nie było jej śladu, kiedy będąc w pełni sił liczyłeś się między nami. Dopiero poniosłszy osobistą porażkę bijesz w dzwony żalosego humanizmu. Bądźmy teraz przynajmniej szczerzy między sobą. To jasne jak słońce, że troszczymy się tylko o własne interesy, lecz i ty niczym się od nas nie różnisz. Zostałeś nawrócony? Widzisz zło w tym, co zapoczątkował Ernst i Toebben?... Każdemu, tylko nie nam, możesz to wmawiać. Jesteś M niby zgrzybiały sęp, którego młode odganiają od padliny. To, że ‘•’ on zdycha z głodu, nie znaczy wcale, że nie chce żreć ochłapów. On już jest na to zbyt słaby. I nikt nie weźmie go serio, gdy spróbuje namawiać młode sępy do jarskiej diety z ziaren i korzonków. Nic nie straciłeś z dawnego Ernsta.

— Mylisz się!

— Nie. My nie popełniamy pomyłek. Nie to jest zresztą najważniejsze. Wysłuchałem cię i teraz kolej na to, co ja mam do powiedzenia. Chcesz znać wyrok?

— Ja go już na siebie wydałem.

— Doskonale, tylko o jednym zapomniałeś. Wątpimy, aby odkrycie dokonane przez twojego syna mógł ktoś jeszcze powtórzyć. Będziemy próbowali, lecz dla zupełnej pewności i tak potrzebny jest nam Tout, on jeden zna właściwą drogę... Więc rozpocznie ją od nowa i ukończy.

— Tout nie żyje i nikt z was nie potrafi wskrzesić przeszłości.

— Zrobisz to ty sam. Jeszcze żyjesz, a teraz będziemy cię strzegli lepiej. Stworzyłeś Touta według informacji zawartej w twoim mózgu. Ostatnio być może zmieniłeś się, ale dzięki twoim pracom potrafimy odszukać i odczytać tylko te fragmenty, które dotyczą okresu powstania owej, jak ją nazwałeś — „matrycy”. Ona ciągle jest zapisana w tobie... Wyhodujemy drugiego Touta, zapewnimy mu warunki, jakie miał pierwszy, i pójdzie jego śladem. Dla rozwiązania problemu sterowania ludzką myślą potrzeba sumy wiedzy trzech pokoleń Toebbenów. Tout ją posiędzie. Zabójstwem syna niczego nie zmieniłeś. Straciliśmy wiele cennych lat, ale możemy poczekać nawet pół wieku. Stawka jest tego warta.

— Kłamiesz! Energostacje na biegunach... Nie możecie tego zrobić!...

W dżungli panuje spokój, zielony półmrok. Drzewa nakrywają gąszcz zarośli szczelnym dachem, pod który nie przenika żar słońca i odbłask dalekich pożarów. Spod ich koron nie widać nocą gwiazd, ale też nikt patrzący z góry nie zauważy kryjącego się w głębi ruchu. Bezszelestnie, niczym leśne widma, idą ludzie. Za nimi krąg wypalanej, zrytej ziemi.

Szelest giętych traw prowadzi korowód cieni w stronę, skąd przyszli, gdzie spod czerwonej zorzy przywiódł ich tutaj podniebny szlak ciężkich ptaków.

Odchodzących spowija czerń połykająca rysy twarzy i ruchy rąk. Nocą trudno rozpoznać, czy w pogodny dzień spalił ich twarze złotawy oddech słońca, czy też smagnęły błękitnym światłem rozcieńczone w przestrzeni protuberancje Węgi. Kogo obchodzi, kto jaką ma twarz i

ile palców u każdej z rąk. Ludzie są wszędzie. Lub będą. Może nie zawsze zostanie po nich tylko żar tłący się pod wrakami aluminiowych, skrzydlatych kadłubów i siwy dym nad rozwartym lejem szybu schodzącego w głąb ziemi.